

Martyna Goszczycka

Jedynie poświęcenie prowadzi do odrodzenia

ODRODZENIE

SAGA WIZJI PARADOKSALNYCH

RW2010

MARTYNA GOSZCZYCKA

ODRODZENIE

tom pierwszy Sagi Wizji Paradoksalnych

Oficyna wydawnicza RW2010 Poznań 2012

Redakcja: Joanna Śłużyńska

Korekta: Andrzej Homańczyk, Robert Wieczorek

Redakcja techniczna: zespół RW2010

Copyright © Martyna Goszczycka 2012–2015

Okładka Copyright © Tomasz Golec 2012

Zdjęcie na okładce © babkin / Fotolia.com

Copyright © for the Polish edition by RW2010, 2012-2015

e-wydanie I

ISBN 978-83-63111-74-8

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie całości albo fragmentu – z wyjątkiem cytatów w artykułach i recenzjach – możliwe jest tylko za zgodą wydawcy.

Aby powstała ta książka, nie wycięto ani jednego drzewa.

Oficyna wydawnicza RW2010

Dział handlowy: marketing@rw2010.pl

Zapraszamy do naszego serwisu: www.rw2010.pl

*Dedykuję temu, dla którego
ta opowieść nie jest tylko zwykłą opowieścią.*

To moja piąta próba stworzenia życia. Poprzednie cztery zakończyły się sukcesem, dlatego wierzę, że ta nie okaże się wyjątkiem. Postępuję co prawda niezgodnie z kodeksem Nimf, ale postanowiłem go zignorować. Gotowy jestem zaryzykować, by stworzyć dzieło idealne – tak jak poprzednie pozbawione możliwości rozrodczych, a przez to jedyne i niepowtarzalne, oraz posiadające absolutną władzę nad jednym z Żywiółów – ale potężniejsze od tamtych, przewyższające mocą każdą istotę, na tyle głupią, by mu się sprzeciwiać. Tym razem stworzę dzieło, którego Zaświat i Przedświat nie zapomną.

Kroniki Nimf – fragment Pamiętnika Stwórcy

Starszy Alchemik Derek Vosuke

Prolog

Ród Saruku – najznakomitszy ród demonów, najbardziej wpływowy w Transylwanii, a znany w całym bezgranicznym Przedświecie, niepokonany i wyrafinowany, budzący podziw w wyższych sferach, a respekt pośród plebsu. Jego członkowie wyrobili sobie reputację inteligentnych i tajemniczych, eleganckich i niebezpiecznych, lecz nigdy brutalnych. Słynęli ze swojego opanowania i dystygowania, nawet opiekuńczości, lecz przede wszystkim z ekscentryczności. Nikt tak naprawdę nigdy ich nie poznał ani nie rozgryzł, trzymali innych na dystans. Ani dobrzy, ani źli. Balansujący na granicy mroku i jasności.

Dwór, który zamieszkiwali, stanowił ich odzwierciedlenie. Dziwny, okryty aurą zagadkowości i pewnej grozy, a jednocześnie zdający się stać przed każdym otworem. Majestatyczna rezydencja o grubych murach rosnących ku niebu w kilku piętrach; obrosnięta pnączami bluszczu niemal całkowicie zakrywającymi jasne ściany z rzędami smukłych okien. Monstrualny budynek – a jednak tchnący ciepłem i spokojem. Otaczał go wielki ogród, zadbane i bogaty w rzadko spotykaną

roślinność; wypełniony niezliczoną ilością drózek, wijących się jak labirynt pomiędzy żywopłotami a teatrem posągów.

Swoją nietypowość ogród zawdzięczał właśnie kamiennym postaciom. Liczne nieruchome sylwetki tkwiły wśród kwiecistych kompozycji, małych ozdobnych fontann oraz niskich drzewek. Rzeźby ustawiono również wzdłuż szerokiej drogi wysypanej kamykami, biegnącej przez środek ogrodu – prowadziła ona do drzwi wejściowych dworu. Każdy z posągów – czy to wyprostowany dumnie, czy pochylony w ukłonie, czy też stojący w niedbalej pozie z dłonią opartą na biodrze – posiadał swój własny charakter. Każda z rzeźb miała niepowtarzalną twarz, swoistą mimikę, sobie właściwy strój. Podążając zwirową drogą ku rezydencji, przechodziło się zatem przez korytarz stworzony z martwych, zastygłych w bezruchu postaci, wpatrujących się w gościa nieustannie i natarczywie.

Rośliny posadzono w taki sposób, by rabaty tworzyły prostokąty, koła, kwadraty oraz znaki i symbole, zrozumiałe tylko dla rodziny Saruku. Przeplatały się ze sobą, zachowując specyficzny ład. Panująca w ogrodzie kolorystyka nie była ani jednolita, ani wyblakła, niemniej mieściła się w ogólnie przyjętych normach i nigdy nie stawiała się zbyt jaskrawa. Działała więc tu ta sama zasada, co w przypadku posiadłości i całej rodziny: wszystko było z jednej strony nietuzinkowe, a z drugiej stonowane.

Rezydencję otaczał wysoki mur z czarnej, błyszczącej cegły, która mieniła się w promieniach słońca i wyglądała na jaśniejszą niż w rzeczywistości. Otwarta na oścież metalowa brama poskrzypywała cicho w oczekiwaniu na gości.

Poranek tego dnia był przejmująco lodowaty. I niezwykle ważny dla rodu Saruku. A najważniejszy – dla najmłodszego z nich.

Rudy jedenastoletni chłopiec kurczowo ścisnął dłoń swojej jasnowłosej matki. Kobieta miała na sobie długą, atłasową suknię, bez zbędnych buf i falban, prostą, acz gustowną, w kolorze szarego papieru, co tylko podkreślało bladość jej twarzy. Towarzyszyło im kilkunastu strażników, uzbrojonych we włócznie i trójzęby. Odziani

byli w ciemnofioletowe tuniki, spod których wystawały lekkie kolczugi. Na ramionach nosili naszywki z herbem Saruku.

Mały rudzielec zdawał się tutaj nie pasować, ubrany w zwykłe szare spodnie oraz luźną kamizelkę zapinaną na guziki. Wpatrywał się w posągi przodków i wymieniał w myślach ich imiona, pragnąc skupić się na czymś innym niż własne zdenerwowanie. Ale nie pomagało. Złe przeczucie nie chciało go opuścić.

Stali na ganku, na schodkach wyrzeźbionych z połyskliwego kryształu. Drzwi za ich plecami były zamknięte. Najwidoczniej gościnność gospodarzy tyczyła tylko ogrodu.

Chłopiec zerkał na boki przerażonym wzrokiem. Jego matka, wysoka kobieta o zazwyczaj jasnej i pogodnej twarzy, dzisiaj była pochmurna i zafrasowana. Trzymała syna za rękę. Jej dłoń była spocona. Nigdy wcześniej nie widział matki takiej spiętej i zagubionej. Wiedział, że dzisiejszy dzień jest ważny. Nie umiał przewidzieć, w jakim stopniu wpłynie na jego los, ale wiele się zmieni. Czuł to. I bał się.

Matka nigdy nie powiedziała mu wprost, że nazbyt się wyróżnia, że jest inny i nie pasuje do rodziny. Nie była na tyle okrutna, by w twarz nazwać go dziwadłem. Może nawet sądziła, że on sam nie zdaje sobie z tego sprawy. Ale miał uszy. Był czarną owcą. Czasami słyszał też słowo „potwór” wypowiedane surowym głosem ojca. Dzisiaj go przy nich zabrakło. Chłopiec nie zastanawiał się jednak nad nieobecnością ojca; zbyt się bał.

– Idą – usłyszał strwożony szept matki i bezwiednie spojrział w stronę bramy. Momentalnie zeszywniał i przylgnął do boku kobiety, która nie miała serca go odepchnąć.

Przez rozwartą szeroko bramę przechodziły trzy postacie. Podążały kamienistą drogą pewnym i sprężystym krokiem. Dwaj mężczyźni, wysocy i dumnie wyprostowani, ubrani byli w identyczne czarne stroje, z kołnierzami przesytymi

czerwoną nitką; skupieni na swym celu, wbijali wzrok w czekającą na nich rodzinę. Otaczała ich aura siły i grozy.

Przewodziła im niewysoka młoda kobieta, wyróżniająca się na tle swych surowych towarzyszy. Miała na sobie ciemną luźną sukienkę sięgającą kolan, z szerokim dekoltem odsłaniającym chude ramiona. Zbyt długie, szerokie rękawy zakrywały jej dłonie. Materiał sukni – zbyt cienki jak na tak chłodny poranek – falował wokół smukłego ciała, dodając ruchom dziewczyny kociej miękkości. Zdawała się płynąć w powietrzu – żwir nie chrzęścił pod podeszwami jej wysokich skórzanych butów.

Nietypowym strojem kobieta wcale nie zamierzała maskować swojej inności. Długie, sięgające pasa włosy, barwy pierwszego śniegu, opadały na plecy niczym welon. Mleczna skóra była nieskazitelnie biała. Duże oczy tworzyły niezwykle kontrast ze śnieżną cerą – źrenice miały kolor krwi.

Trójka obcych bez oznak strachu czy wahania szła przez piękny ogród. Żadne nie omiotło go bodaj szybkim spojrzeniem. Żadne nie zwróciło uwagi na mijane posągi, które na innych wywierały tak wielkie wrażenie.

Chłopiec nie pojmował... Czemu ci goście nie byli jak inni? Jego rodzina często przyjmowała wizyty i każdy z odwiedzających albo zachwycił się dworem, albo rozglądał wokół z lęklwym szacunkiem. Matka tłumaczyła mu kiedyś, że budzą wśród ludzi respekt podszyty strachem. Nie do końca to rozumiał, lecz natychmiast za tym zatęsknił. Bowiem obcy kroczący w ich kierunku zachowywali się tak nonszalancko i arogancko, iż wywoływali w nim trwogę. Wolałby już uniżoność i fałszywe uśmiechy, do czego przywykł.

Ci nieznajomi, nieprzejęci pozycją i bogactwem rodu Saruku, wyglądali na takich, którzy stoją znacznie wyżej od jego rodziny. I zbliżali się coraz bardziej, sunąc po żwirowej dróżce jak zjawy. Nie było przed nimi ucieczki.

Zatrzymali się naprzeciw przedstawicieli rodziny Saruku. Chłopiec wyczuł, że jego matką wstrząsnął silny dreszcz, potem nabrała głęboko do płuc chłodnego porannego powietrza. Straż natychmiast zgięła się w ukłonie, włócznie i trójzęby zabręczały głośno. Strażnicy nie prostowali się, a atmosfera wokół aż gęstniała od napiętego do granic oczekiwania. Chłopiec odważył się przemknąć wzrokiem po trójce obcych i szybko zrozumiał, o co chodzi. Dwaj mężczyźni uśmiechali się do jego matki złośliwie i znacząco – od niej również oczekiwali ukłonu. Białowłosa albinoska o porcelanowej twarzy lalki wyglądała na znużoną. Czerwone oczy, badawcze i bezdenne, patrzyły na jego matkę i... przez nią, gdzieś daleko.

Chłopiec zadygotał, poczuwszy na sobie tchnienie zimnego wiatru. A może zadrżał z przerażenia? Jego spojrzenie biegało niespokojnie to tu, to tam, ale zawsze wracało ku beznamietnemu obliczu białowłosej kobiety. Wysokie kości policzkowe nadawały jej rysom władczości. Przyciągała go i przerażała, nie potrafił wyzbyć się ciekawości, choć całe jego ciało napinało się ostrzegawczo. Dziecięce zaintrygowanie walczyło z instynktem samozachowawczym, który szeptał natrętnie: uciekaj. W końcu śnieżnoskóra spojrzała na niego od niechcienia, a jego przeszył lodowaty dreszcz. Pospiesznie spuścił wzrok i mocniej zacisnął dłoń na palcach matki. Czuł, że ona jest równie mocno wystraszona. Czemu więc nie chciała się pokłonić?

– Głupia... – usłyszał schrypnięty kobiecy głos, niepasujący do drobnej dziewczęcej postaci. – Marnujesz mój czas.

Jego matka jęknęła i zagryzła wargi. Wreszcie pochyliła się i klękła na jedno kolano, ciągnąc za sobą chłopca. Posłusznie naśladował jej gesty, nie chcąc niczego zepsuć. Nie mógł się tylko powstrzymać od ukradkowego zerkania na białowłosą. Szybko tego pożałował, zauważywszy na jej wąskich ustach lekki uśmiech, niemal niezauważalny, a jednak przykro drwiący. Szybko przeniósł wzrok na matkę, lecz widok jej upokorzenia wcale mu nie pomógł. Jedyne mocniej zakłuło go w piersi.

– Pani, pokornie proszę o opiekę nad moim synem.

Chłopiec zadygotał jak galareta, chciał poderwać się z kolan, usta rozwarł do krzyku. Lecz matka boleśnie ścisnęła jego dłoń, nie pozwalając mu na żaden ruch, na żaden sprzeciw. Do jego czekoladowych oczu napłynęły łzy. Zdradziła go, sprzedała...! Jego własna matka, jego rodzina. Był przecież odmieńcem... Szloch targnął ciałem chłopca. Nie potrafił zrozumieć, co się dzieje. Czuł tylko odrzucenie. Ptak wypchnięty z gniazda. Nie kochała go... Matka po prostu go nie kochała! Wyparła się go. Wyrwała jak zbędny chwast z ogrodu!

A jednak wciąż trzymał ją za rękę. Coraz bardziej kurczowo.

Straże nadal trwały w półukłonie, jasnowłosa Saruku klęczała na jednym kolanie, a małym rudzielcem wstrząsał bezskutecznie tłumiony płacz. Gryzł wargi, łykał własną gorycz, ale łzy i tak płynęły po policzkach. Jego rozpaczliwy szloch był jedynym dźwiękiem, który rozrywał ponurą ciszę.

Białowłosa uśmiechnęła się chłodno.

– Bez obaw. Odpowiednio się nim zajmiemy. – Uniosła dłoń i pstryknęła palcami. Towarzyszący jej mężczyźni pospiesznie skinęli głowami i w kilku długich krokach znaleźli się obok chłopca i jego matki.

Kobieta nawet nie próbowała się sprzeciwić. Wstała, znowu ciągnąc syna. Stanowczo uwolniła rękę z uścisku dziecięcych palców i popchnęła chłopca w kierunku wielkich, groźnych obcych. Rudzielec był tak oszołomiony, że nim zdążył zareagować, silne ręce jednego z mężczyzn pochwyciły go jak obcęgi. Nieznajomy poderwał go i przycisnął ramieniem do piersi. Dłonią zawczasu zakrył mu usta, skutecznie tłumiąc wrzask, który wydarł się z malca okamgnienie później. Chłopiec szarpał się i wymachiwał nogami, lecz cały jego bunt był niczym szamotanina muszki złapanej w sieć wielkiego pająka. Przez mgłę łez spojrział na matkę, pilnowaną przez drugiego mężczyznę – co okazało się zupełnie zbędne,

bowiem stała bez ruchu, spłowieła jak stara kartka papieru, z błyszczącymi dziwnie oczami.

– Wybacz, synku... Ale nie pasujesz do nas. Nie pasujesz...

Serce zakołatało i... stanęło na chwilę. Wyrzekła się go, ot tak. Był dla niej nieodpowiedni, nie zasługiwał na miłość własnej matki.

A jednak wrywał się do niej. Rozpaczliwie.

Krwistooka albinoska westchnęła przeciągle. Potem skinęła głową na swoich podwładnych. Rudzielec szarpał się i krzyczał, póki trzymający go osilek nie obrócił się tyłem do rezydencji. Ruszył ku bramie wyjściowej ogrodu.

Chłopiec, straciwszy matkę z oczu, zawisł bezwładnie, pokonany i pozbawiony nadziei. Nawet łzy przestały płynąć. Ogarnęło go uczucie pustki. Wtedy za plecami usłyszał chłodne słowa albinoski:

– Synowie wracają. On też do ciebie wróci. Ale tylko po to, żeby cię zabić.

CZEŚĆ PIERWSZA

Rozdział I

Pokój, do którego go przyprowadzili, nie był ani zadbany, ani obszerny. Cztery gołe ściany zamykały skromną przestrzeń wypełnioną stęchłym powietrzem. Małe okno, umieszczone niemal pod sufitem, wpuszczało do środka skąpe światło. Duchota i odór ściskały za gardło.

Drewniane, pociemniałe od wilgoci drzwi z trzaskiem zamknęły się za chłopcem. Stał na progu pomieszczenia, mierząc wewnątrz izdebki pełnym gorczy spojrzeniem. Podpuchnięte od płaczu powieki uniosły się w zdumieniu, usta wykrzywiły w odrazie. Dokładniejsza lustracja wywołała kolejną falę rozpacz.

Właściwie nie było tu czego oglądać. Popękane ściany. Betonowa, nierówno wylana podłoga. W kątach zgniłozielona pleśń, w rogach pod sufitem grube pajęczyny. Pomieszczenie było szare, ponure i przygnębiające. Cisza wręcz krzyczała.

Pod ścianą, tą wzbogaconą o małe okienko, znajdowała się wydrążona w podłodze dziura. Czując dochodzący z niej fetor, bez trudu domyślił się, do czego służyła. Po prawej stronie od drzwi wejściowych stało skromne łóżko. Brudny, poplamiony zaschniętą krwią materac przesiąknięty był potem wcześniejszych mieszkańców celi. Poprzecierany i podziurawiony gubił wilgotną słomę. Drewniane nogi łóżka, niskie i grube, wyglądały tutaj na jedyną solidną rzecz. Obok pryczy znajdował się nieoheblowany stoliczek, ze sterzącymi zadziorami. Na nim stała gliniana miseczka wypełniona parującą zupą, w której zanurzono drewnianą łyżkę. Chłopiec wzdrygnął się na widok jedzenia – w takim otoczeniu wywoływało jedynie mdłości. Zresztą jak mógłby przełknąć choćby kęs po tym, co go spotkało? Co miał

teraz ze sobą zrobić? Potrafił tylko stać w miejscu i patrzeć z rozpaczą na swoje więzienie. Oczy znów napełniły się łzami.

Nie pamiętał zbyt dobrze, jak tu dotarł. Droga pozostała rozmazanym wspomnieniem, urywanym, z wyciętymi fragmentami. Był w takim szoku, że nie potrafił skupić się na widokach. Kojarzył jedynie potężny, długi budynek z powybijanymi oknami. Jak przez mgłę pamiętał szerokie drzwi połyskujące resztkami potłuczonych witraży. Potem osilek niósł go przez korytarze, ciemne, wyzbyte dźwięków i barw, śmierdzące krwią i obecnością czegoś... złego. Od czasu do czasu mijały ich jakieś postacie – osnute mrokiem, niewyraźne cienie. Poza tym było tak pusto, iż każdy ich krok odbijał się echem wśród chropowatych, posępnych ścian niekończących się korytarzy. A duszna, zepsuta atmosfera tego miejsca do reszty otumaniała chłopca.

Z transu wybudził się dopiero tutaj, nie pojmując, jakim cudem utrzymuje się na nogach. Mięśnie miał tak zeszywniałe, iż przez długi czas po prostu stał w miejscu, w którym zostawił go tamten mężczyzna. Nieruchomy jak jeden z posągów w ogrodzie, którym szczyciła się jego rodzina.

Nie... To już nie była jego rodzina!

Nieoczekiwanie wróciło wspomnienie matki, stanowczo uwalniającej się od niego, pchającej w stronę obcych. Oddała go, pozbyła się jak niepotrzebnego zielska... Dręczącą pustkę odrzucenia nagle po brzegi wypełniła furia. Z wrzaskiem rzucił się na skrzypiące łóżko, nie zwracając uwagi na kurz i fetor, jakie uniosły się nad sponiewieraną pryczą. Kopał siennik, gryzł, drapał paznokciami, drąc i tak już mocno zniszczony materiał. Na przemian krzyczał i zanosił się płaczem. Jego dziecięce ciało trzęsło się, ogarnięte emocjami, których nadmiar przygniatał go niczym tony piasku. Niewidzialne pazury ścisnęły mu serce, piekąca gula rozrastała się w płucach, rozrywając go od środka, i nie malała mimo lawiny zdzierającego gardło krzyku.

Miotał się rozpaczliwie, aż zabrakło mu łez i sił. Trauma i zmęczenie sprawiły, że w końcu zmorzył go pełen koszmarów sen.

Obudził się następnego dnia, z czołem zroszonym potem, zdrętwiały i obolały. Z jękiem przewrócił się na plecy i wbił spojrzenie w spękany sufit.

Był wykończony, do cna wyczerpany. Czuł się jak wyżęta ścierka, wyciśnięty z wszelkich emocji i myśli. Znów był tak samo pusty jak wtedy, gdy wnoszono go do tego przesiąkniętego odorem śmierci budynku. Poprzedniego dnia wyrzucił z siebie całą wściekłość i gorycz. A dziś? Czuł, że nie ma w nim już niczego. Nic mu nie pozostało. Był sam pośród zupełnie obcego świata.

Dopiero teraz dotarło to do niego. Krytyczność i beznadzieja sytuacji spadły na niego jak kowadło. Wcześniej, zaślepiony żalem do matki, nie zorientował się, w jak wielkim znalazł się niebezpieczeństwie. Teraz, gdy złość odbierająca jasność myślenia spłynęła wraz ze łzami, do jego jedenastoletniego umysłu zaczął docierać ogrom czyhających na niego zagrożeń.

I pustkę wypełnił strach. Bał się o własne życie, o to, co się z nim teraz stanie. Po co go tutaj przytargali? Duszny jak nora pokój nie wskazywał na dobre zamiary nieznajomych. Rudzielec nie chciał tu tkwić ani chwili dłużej, czuł się jak zwierzę w klatce, w bardzo zaniedbanej klatce, śmierdzącej odchodami i wymiocinami.

Rozmyślenia chłopca przerwało skrzypnięcie otwieranych drzwi. Do pomieszczenia wlało się pasmo mdłego światła, w którym pojawił się cień czyjejś sylwetki. Rudzielec podniósł się z posłania, spoglądając niepewnie ku wejściu.

Do celi wkroczył krępy mężczyzna o siwej, przeredzonej czuprynie. Skórzany strój ciasno przylegał do umięśnionego ciała. Tylko narzucona na ramiona kamizelka była luźna i rozpięta. Surowe spojrzenie szarych oczu wlepił w chłopca, przyprawiając go o dreszcz trwogi. Rudzielec pospiesznie zeskoczył z pryczy. Nogi

ugięły się pod nim, mięśnie zapiekły, nie wytrzymując ciężaru ciała. W popłochu złapał się stolika, lecz wywrócił się wraz z nim. Do łoskotu upadku dołączył trzask pękającej miski. Wystygła już zupa rozlała się po nierównościach posadzki i zmoczyła włosy chłopca. Ten odczołgał się w kąt i przywarł do ściany.

Mężczyzna obserwował całe zajście bez słowa. Jego pokryta zmarszczkami twarz nie wyrażała ani rozbawienia, ani rozdrażnienia. Rudzielec gapił się na niego wystraszonym wzrokiem.

– Nie bój się – odezwał się łagodnie mężczyzna, tonem, który zupełnie do niego nie pasował. Choć mówił, jego usta nie poruszały się, a przynajmniej wyglądały na nieruchome.

– Kim jesteś? Gdzie jestem? – wyrzucił z siebie jednym tchem chłopiec, coraz mocniej wciskając plecy w ścianę. Marzył, by ją przeniknąć, znaleźć się na zewnątrz, daleko stąd, w domu... Nie, nie miał już domu! Nie powinien za nim tęsknić! Ale tęsknił, okropnie. Za ciepłym wygodnym pokojem, za opiekuńczością matki, za nieograniczoną przestrzenią korytarzy i komnat, w których mógł się swobodnie bawić. To wszystko zostawił za sobą: komfort, ciepło, troskę. Chciał do tego wrócić! Mógłby spróbować wrócić, nawet jeśli rodzina się go wyparła... Może gdyby ich poprosił, przygarnęliby go z powrotem? Nie mogli go tak zostawić... Nie mogli!

Posiwiwały mężczyzna zbliżył się o kilka kroków, nie odrywając od chłopca srogiego spojrzenia, kontrastującego z delikatnym brzmieniem głosu:

– Strach to jedna z cech, których Syndykat nie akceptuje. W najbliższym czasie będziesz musiał wyzbyć się strachu i wielu innych słabości.

Chłopiec nie pojął sensu jego słów. Odpowiedź nieznajomego nijak się miała do jego pytania. Sprawiała jedynie, iż nabrał jeszcze większej ochoty, by uciec z tego przekłętą miejsca. I zrobiłby to natychmiast, gdyby tylko trafiła mu się okazja. Na razie podkulił kolana i ciasno objął je ramionami, pomiędzy którymi skrył twarz.

– Nie chcę... – wybąkał zduszonym głosem. – Chcę wrócić do domu. Nie chcę tu być...

– Haru Saruku, tak? – Mężczyzna podszedł jeszcze bliżej. – Twoje szlacheckie pochodzenie wyjaśnia tę bezczelność. Chłopcze, nie przyszedłem tu, by słuchać twoich życzeń.

Haru poderwał głowę, rzucając mu rozgorączkowane spojrzenie. Zagryzł wargi, by stłumić kolejną falę rozpacz; starał się przybrać hardą minę. Tak jak robił ojciec, gdy przyjmował ważnych gości. Niestety – jego zapłakana twarz i srogie oblicze ojca nie miały ze sobą nic wspólnego.

– Chcę wiedzieć, gdzie jestem! – Głos, w zamierzeniu kategoryczny, zabrzmiał żałośnie, jak skarga rozkapryszzonego dzieciaka, który udaje, że wcale nie umiera z przerażenia.

Na twarzy mężczyzny pojawiła się wreszcie reakcja: pobłażliwy uśmiech.

– Przecież już ci mówiłem. Jesteś w Syndykacie.

– Syndykacie? – Chłopiec pociągnął nosem, wpatrując się w nieznanego z niezrozumieniem.

– Tak. W miejscu, gdzie z takich jak ty robimy doskonałych zabójców.

Haru rozwarł usta, lecz zamilczał, nie wiedząc, co powiedzieć. Pokręcił przecząco głową, mocniej przycisnął kolana do piersi. Zabójców...? – znaczenie tego słowa wstrząsnęło nim. Miał się stać jednym z nich? Nie rozumiał, nie pojmował, nie mógł... Pragnął tylko wyrwać się stąd, wrócić do domu, z którego go zabrano.

– Nie chcę – powtórzył uparcie, marszcząc gniewnie czoło.

– Nie chcesz, bo mało jeszcze rozumiesz. – Mężczyzna patrzył na niego z góry, z protekcyjnym uśmiechem. – Ale zrozumiesz. Każdy z was w końcu to pojmuje. Ci, którzy nie rozumieją, przeważnie giną.

– Nie chcę... – Słowa te same, ale ton inny, pełen lęku, nie upor.

– Spokojnie, jeśli będziesz posłuszny i okażesz się wystarczająco silny, nic ci się nie stanie. – Siwowłosa pochylił się nad nim i położył szorstką, spękaną dłoń na jego głowie. – Nauczmy cię wszystkiego od podstaw. Sprawuj się dobrze, to może dostaniesz lepszy pokój.

Mały rudzielec wbił w niego zaszklone oczy. Słowa protestu uwięzły mu w gardle, choć dotyk tej ciężkiej, zimnej dłoni wcale nie był przyjemny i chciał się od niego uwolnić jak najszybciej. Niepewnie potrząsnął głową, obawiając się reakcji mężczyzny. Tamten o dziwo uśmiechnął się z zadowoleniem i cofnął na środek pokoju.

– Pierwszym twoim zadaniem będzie wyparcie się swojej rodziny.

– To oni wyparli się mnie... – burknął Haru, pochmurniejąc.

– Owszem, a ty musisz zrozumieć dlaczego. Wiesz dlaczego?

– Bo jestem inny... Bo mnie nie chcą... – Chłopiec odczuł, jak ciężar bolesnej, wstydlivej tajemnicy stał się ciut lżejszy. Powiedział to na głos i niespodziewanie mu ulżyło. Chociaż nie polubił tego dziwnego, zadręczającego go pytaniami mężczyzny, tylko z nim mógł porozmawiać. A bardzo potrzebował rozmowy. Musiał powiedzieć komuś o swojej krzywdzie, musiał ją z siebie wyrzucić.

– Nie. To nie twoja wina. – Odpowiedź siwowłosego odrobinę podniosła go na duchu. – To ich strata i głupota. Wiesz, czemu się ciebie wyparli? Bo się ciebie bali. Sami są niczym, zbędnym brudem, skazą na majestacie naszego świata. Nie potrafili zrozumieć twojej siły. Uznali ją za inność, bo się jej boją. Dlatego to tylko niewarte naszej uwagi ścierwa.

Chłopiec poderwał się jak oparzony. Zignorował ból mięśni i rzucił się z pięściami na typa łączącego jego rodzinę.

– Nie obrażaj ich! – warknął wściekle.

Wielkie dłonie chwyciły go za nadgarstki. Ścisnęły. Mocno, aż coś chrupnęło. Haru wrzasnął, szarpnął się kilka razy – daremnie, oprawca uniósł go do góry bez

wysiłku. Wyciągnięte ramiona rwały niemiłosiernie, nogi dyndały bezradnie w powietrzu, a poczerwieniała z oburzenia i upokorzenia twarz znalazła się na równi z pobrużdżonym obliczem siwowłosego.

– Widzę, że jeszcze jest za wcześnie, żebyś mógł to pojąć – skwitował, wciąż miażdżąc mu nadgarstki w żelaznym uścisku palców. – Ale im szybciej to zrozumiesz, tym szybciej wyjdiesz z celi. Twoja rodzina wyparła się ciebie ze strachu. Okazali słabość. Powinieneś nimi gardzić.

– Nie są słabi! Nie muszę myśleć tak, jak mi każesz! – Haru szamotał się i wierzgał nogami, tylko powiększając ból naciągniętych mięśni i ścięgien.

– Buntujesz się, sprzeciwiasz, nie dajesz złamać. – Surowa twarz oprawcy złagodniała w uśmiechu satysfakcji. – To cechy, które powinieneś w sobie pielęgnować. Cechy, które uczynią cię silnym. Ale odróżniaj bunt od głupoty – zakończył szorstko i rozwarł palce, pozwalając, by obolałe ciało chłopca gruchnęło o posadzkę.

Rudowłosy zwinął się w kłębek, przyciągając piekące ramiona do boków. Zacisnął powieki, kryjąc się w ciemności. Chciał zasnąć, zniknąć, przestać istnieć. Było mu niedobrze z bólu, mdliło go od tego potwornego smrodu, w głowie kręciło się od niechcianych myśli. Rodzina odrzuciła go ze strachu? Z obawy przed jego siłą? Przecież nie był dla nich groźny, kochał ich! Jak mogli popełnić taki okropny błąd? Jak mogli dopuścić do siebie tak absurdalne obawy? Nigdy by ich nie skrzywdził. Nigdy!

– Musisz zacząć od zrozumienia tych podstaw – ciągnął mężczyzna, a jego masywna sylwetka rzucała na skulonego chłopca złowrogi cień. – Powinieneś być wdzięczny Syndykadowi, że raczył cię przyjąć. To oznacza, że posiadasz jakiś potencjał, który możesz albo zmarnować, albo rozwinąć. Ciesz się, że uwolniłeś się od słabeuszy, w których obfitowała twoja rodzina.

– Oni... oni mnie nie chcą? Czemu? – Haru potrafił myśleć tylko o tym. Czemu go nie chcieli? A wyjaśnienia mężczyzny nie podobały mu się ani trochę, nie dopuszczał ich do siebie. Nie był kimś, kogo trzeba się bać. A na pewno nie stanowił zagrożenia dla własnej rodziny.

– Nie chcą cię – usłyszał nad sobą nieznośnie monotony głos siwowłosego – bo są za słabi. Ty jesteś silny, a słabi obawiają się siły. To jest właściwa odpowiedź na twoje pytanie. Innej nie będzie, pogódź się z tym. Masz siłę, której oni nie umieli docenić, ale którą na pewno doceni Syndykat, o ile się postarasz i pokażesz, co potrafisz. Zostawię cię na noc z tymi myślami. Bez jedzenia i picia.

Pół nocy spędził na rozmyślaniach, na kontemplowaniu słów siwego mężczyzny, którego imienia nie poznał. Leżał na łóżku, przyciśnięty plecami do chłodnej ściany. Otulała go kołdra nocy, ciemna i nieprzenikniona. Nie widział czubka własnego nosa, ale to pomagało mu się skoncentrować. Tylko burczenie w brzuchu wytrącało go raz po raz ze stanu skupienia. Nie jadł od blisko dwóch dni, a gdyby nawet dostał coś innego prócz tamtej zmarnowanej zupy i tak niczego by nie przełknął. Gardło miał ściśnięte, żołądek również.

Rozprawiał się z przeszłością. Jego rodzina wyrzekła się go ze strachu i z głupoty. To nie jego wina, taki się urodził. To oni go zawiedli, bo nie potrafili pojąć i docenić siły, jaka w nim drzemała. Powtarzał sobie te zdania, by się z nimi oswoić. By się na nie otworzyć, by zaakceptować prawdę, którą niesły. Im częściej je powtarzał, tym bardziej mu się podobały. Odpowiadała mu wersja, w której nie on był inny, dziwaczny, ale to oni okazali się nieodpowiedni dla niego. Takie tłumaczenie podnosiło go na duchu i tworzyło ochronną otoczkę, zatrzymującą smutek i wyrzuty sumienia. Nie był niczemu winny! To oni zgrzeszyli lękiem przed tkwiącym w nim potencjałem. Takie przekonanie łątało ranę w sercu, koilo żal,

napełniało go czymś przyjemnym, czego jeszcze nie umiał nazwać, ale już zaczynało mu się podobać. Bowiem dawało ukojenie i nadzieję, że wcale nie jest taki zły, jak mu się dotąd wydawało. To oni popełnili błąd... On nie zrobił niczego złego.

Z takim przeświadczeniem było mu po prostu łatwiej. Nie rozumiał jedynie o jakiej sile, o jakim potencjale mówił siwowłoso. Czy miał na myśli talent do... zabijania? Chłopiec wzdrygnął się z odrazą i wtulił twarz w twarde, dziurawy materac, drapiąc policzki o ostre źdźbła wystającej z niego słomy.

Wkrótce umknął przed zmęczeniem i głodem w krainę snów.

Kwadratowy pokój ustrojono płachtami białej tkaniny. Materiał podczepiono do sufitu, skąd sphywał po ścianach precyzyjnie ułożonymi kaskadami i opadał na podłogę. Całkowicie ją pokrywał, uwypuklając się i uginając niczym morskie fale.

Pomieszczenie zastawiono zgaszonymi świecami. Znajdowały się wszędzie. Na podłodze wśród zagięć aksamitnego materiału. Na przysłoniętych białymi obrusami stolikach. W niszach wydrążonych w ścianach, zakrytych przez lejącą się z sufitu tkaninę. Świece – różnych kształtów i wielkości, jedne wysokie i smukłe, inne niskie i grube, te proste, tamte gięte – wszystkie były krwistoczerwone. Nie płonąc, zdawały się pozbawione duszy, okradzione ze swojego piękna. Ożywić mógł je tylko ogień.

I tak też się stało – gdy okryta ciemnym płaszczem postać wsunęła się do środka przez wąskie drzwi, wszystkie świece zapaliły się wraz z podmuchem jakiegoś magicznego tchnienia. Pokój rozblęsnął czerwonym światłem, które chlusnęło na boki i przylgnęło do połaci białego materiału, znacząc go intensywną barwą wina.

Jasnowłoso mężczyzna omiół pokój zafascynowanym spojrzeniem – wszystko wokół tonęło w szkarłatnym blasku. Z ostrożnością i niezwykłą delikatnością zamykał coś pomiędzy dłońmi. Nie zaciskał palców, ale stykał je opuszkami, tworząc małą

klatkę, tak jakby schwytał motyla i nie chciał go zmiążyć. Sprężystym krokiem przeszedł na środek pokoju, brodząc w fałdach materiału, który zagłuszał jego kroki.

Jego jasnozielone oczy połyskiwały obłędem i podekscytowaniem. Przez młodą twarz, pociągłą i gładką, przebiegł cień niezdrowego podniecenia.

– Cicho, cicho, spokojnie, moja mała... – mamrotał do siebie, powolnie rozwierając drżące dłonie. Z uniesieniem wpatrywał się w to, co wylaniało się spomiędzy jego palców. Na rozchylonych dłoniach spoczywał kwiat, którego idealnie białe płatki, w przeciwieństwie do fal materiału, nie wchłaniały w siebie czerwonego blasku świec. Skrzyły się własnym światłem – jaskrawym połyskiem śnieżnej bieli, która tłumila każdą inną barwę, niepodzielnie królując nad przestrzenią wokół siebie. Kanciaste płatki o ostrych krawędziach pokrywały igielki lodu. Krótka, skryta pod kwiatostanem łodyżka, pozbawiona zielonego barwnika, była niemal przezroczysta. Smukłe przejrzyste listki wychylające się spod płatków również wyglądały lichutko.

– To miejsce będzie idealne. Przygotowałem je specjalnie dla ciebie. – Blondyn uśmiechnął się szeroko i przyklęknął na ziemi, zanurzając kolana w fałdach tkaniny. Ułożył kwiat przed sobą. Śnieżne płatki zadzwoniły cichutko, strząsając z siebie kilka kryształków lodu. Kiedy łodyga dotknęła materiału, ten natychmiast zeszywniał od zimna i zatrzeszczał przejmująco. Okrągła plama czystego lodu rozrosła się wokół niepozornego, rozczulająco kruchego kwiatka.

– Masz taką słabiutką i białą aurę... – Blondyn pokręcił głową z politowaniem. – Ale spokojnie, nakarmię cię najintensywniejszą czerwienią. Rośnij, moja Shirane... Rośnij, Shirane no Chou. Jeszcze będziesz potężna... I moja.

Rozdział II

Powieki Haru rozwarły się gwałtownie, lecz oczy trzymały się jeszcze resztek snu. Choć patrzył przed siebie, nie widział ani pokoju, ani swojego łóżka. Nie mógł nabrać oddechu. Jakby jakaś niewidzialna obręcz ścisłała mu pierś. Nie mógł się też poruszyć, jakby ktoś przybił go do pryczy. Pozbawiony władzy w rękach i nogach, ograbiony z oddechu, czuł się więźniem w cudzym i martwym ciele, nad którym nie posiadał żadnej kontroli. Co gorsza – pomimo wrażenia, że to ciało do niego nie należy – w pełni odczuwał skutki uboczne bezdechu. Zrobiło mu się gorąco z przerażenia, mózg rozsadzał skronie, jakby czaszka nagle poczęła się kurczyć. Pozbawione powietrza płuca opadały w dół, naciskając i spowalniając pracę serca. Dusił się!

Ktoś złapał go za ramię i brutalnie zrzucił z łóżka. Chłopiec runął na zimną podłogę, uderzając w nią plecami. Ostry ból przeszył nerki, a uwolnione żebra uniosły się wysoko, w nagłym, aż nazbyt głębokim wdechu. Zakrztusił się nadmiarem powietrza i błyskawicznie zwinął w kłębek, z jękiem przykładając dłonie do obolałych piersi. Chrapliwy kaszel targnął jego gardłem. Przy każdym ruchu ciała prawy policzek ocierał się o chropowatą posadzkę. Ledwo widział stojącego nad nim posiwiąłego mężczyznę, który bez słowa przyglądał się walce chłopca o tlen. Uśmiechał się do niego z pobłażliwym ubolewaniem, ale nawet nie drgnął, by mu pomóc. Jego litość upokarzała rudzielca.

Kiedy wreszcie oddech Haru wrócił do normy, a przynajmniej uspokoił się i ustał męczący kaszel, chłopiec zmierzył mężczyznę wyzywającym spojrzeniem, nie chcąc okazać strachu. Siwowłosy skwitował to szerokim uśmiechem – właśnie takiej postawy oczekiwał.

– Gotowy na kolejną lekcję...

Rudzielec nie słuchał go. W jego głowie wciąż przewijały się obrazy ze snu. Dziwaczne i fascynujące. Lodowy kwiat tak pięknie lśnił w klatce męskich dłoni... Jasnowłosa mężczyzna budził w chłopcu niezrozumiały wstręt. Jeszcze nie wiedział, czy sen będzie należał do tych niesamowitych marzeń sennych, do których chce się wracać, czy okaże się niechciany koszmarem. A może był jednym i drugim?

Naraz Haru ogarnęło niesamowite uczucie, którego dotąd nie znał. Pewność. Absolutna. Przez jego dziecięcy i niewiele jeszcze pojmujący rozum przemknęła błyskawica absolutnej pewności, że ten piękno-straszny sen jest niebywale ważny.

– Mówiłem ci wczoraj o sile. – Jego nauczyciel przysiadł na łóżku, obserwując chłopca z góry. – O sile, której bała się twoja tchórzliwa rodzina. Chcę ci dziś pokazać, co w tobie drzemie.

Rudzielec momentalnie zapomniał o śnie, niezmiernie zaciekawiony słowami siwowłosego. Co w nim drzemie? Połowę nocy zastanawiał się właśnie nad tym. Jaką to niby tajemniczą mocą zraził do siebie całą rodzinę? Co takiego w nim siedziało, skoro nawet własna matka się go bała? Wciąż nieco roztrzęsiony podparł się na rękach i usiadł na ziemi. Skrzyżował nogi i zaintrygowany wlepił wzrok w nauczyciela. Zaczął go nazywać nauczycielem zupełnie bezwiednie.

Siwowłosa uśmiechnął się wyrozumiale, acz z nutą wyrachowania.

– Urodziłeś się i wychowałeś w rodzinie demonów. Ale czy nauczono cię, że demony dzielą się ze względu na kolor swojej energii? Wiesz w ogóle, czym jest demoniczna aura?

Chłopiec prychnął oburzony. Sam był demonem, więc jak mógłby nie wiedzieć o czymś tak prostym i oczywistym jak aura? Każdy z demonów naznaczony był kolorową poświatą własnej energii, której przebudzenie i intensywność zależały od sytuacji i emocji właściciela. Widywał to podczas treningów Straży, kiedy ubrani w lekkie zbroje mężczyźni ruszali do walki na miecze, okryci smugami jasnych aur.

Matka tłumaczyła mu wtedy, iż rozbudzenie energii dodaje walczącym sił i sprawności.

Nigdy jednak nie słyszał o podziale ze względu na kolor. Był na tyle zaniepokojony, iż zapomniał o doskwierającym głodzie, coraz mocniej kęsającym żołądek.

– O jakim podziale mówisz? – wymamrotał.

Starzec skrzywił się. Jego siwe, krzaczaste brwi ściągnęły się w grymasie dezaprobaty, a pobrużdżone czoło zmarszczyło się jeszcze bardziej.

– Czy w tej twojej szlacheckiej rodzinie nie nauczono cię okazywania szacunku, szczeniaku?! – Zamachnął się wielką dłonią, lecz uderzył tylko powietrze. Rudzielec zdołał się w porę uchylić. Nauczyciel trwał przez moment w zdumieniu, z szeroko otwartymi oczami i zastygłą w powietrzu dłonią. Potem zamrugnął i zaśmiał się rubasznie.

– No proszę, proszę, masz lepsze predyspozycje, niż sądziłem! – wydusił wśród gasnących salw śmiechu i przetarł oczy palcami. – Wspaniały refleks, chłopcze.

Rudzielec kulił się na ziemi, przerażony i skołowany. Czekoladowe oczy wpatrywały się w opiekuna wzrokiem wystraszonego zająca, który cudem uniknął śmierci. Był zaskoczony własnym zachowaniem i dziwną reakcją nauczyciela – naprawdę go pochwalił czy igrał z nim jak kot z myszą? Chłopiec przez dłuższą chwilę leżał wtulony w lodowatą posadzkę. Opiekun zmierzył go ironicznym spojrzeniem i wycedził:

– Jednak to, że masz jakiś tam potencjał, nie zwalnia cię z okazywania mi szacunku. I nie tylko mnie. Ja poprowadzę twoje lekcje tylko do końca tego tygodnia, potem przyjdzie ktoś inny, znów jedynie na tydzień, i tak dalej. Nadażasz? Żadne z nas nie poda ci swojego imienia, bo jeszcze na to nie zasługujesz. Musisz zwracać się do swoich opiekunów należycie, bo kolejny może nie być tak wyrozumiały jak ja.

Słyszając to, Haru zaśmiał się gorzko w duchu. Wyrozumiałość nie miała tu nic do rzeczy, lecz zrozumiał, co jego nauczyciel miał na myśli. I wcale nie chciał zależeć za skórę silniejszym od siebie dorosłym, od których zależało jego życie. Może był hardy, ale nie głupi. Poza tym w domu rodzinnym uczono go, jak okazywać starszym należyty respekt. Chłopiec nie znosił pokory, lecz wiedział, kiedy lepiej ustąpić.

– Przepraszam... Panie... – Te słowa opornie przeszły mu przez gardło, niemal poczuł w ustach smak wymiocin. Wzdrgał się na myśl, że szybko zdąży do tego przywyknąć.

– Tak o wiele lepiej. – Siwowłosa wydał wargi w zadowoleniu i gestem głowy nakazał chłopcu podnieść się z posadzki. Młody demon ponownie usiadł, krzyżując nogi. Najchętniej stanąłby prosto i dumnie, lecz czuł, że kolana ma miękkie jak z waty. Pewnie przewróciłby się i zbłąźnił, a tego wolał uniknąć.

– Na czym polega podział aur, panie? – powtórzy swoje wcześniejsze pytanie, lecz w bardziej uniżonej formie. Podporządkował się, bo był zlakniony wiedzy; musiał za wszelką cenę uzyskać odpowiedzi na dręczące go pytania i wątpliwości.

– Może zaczniemy od tego, jakiego koloru aury widziałeś w domu?

Chłopiec uniósł głowę, błędząc spojrzeniem po splekanym suficie. Zamyślił się, szperając w pamięci. Przywołał różne sytuacje, w których mógł ujrzeć energie swoich bliskich. Pamiętał treningi Straży, pamiętał gniew ojca, karcącego swoich podwładnych, pamiętał też smutek matki, gdy czasami samotnie przesiadywała w ogrodzie.

– Straże naszej rodziny miały aury w kolorze jasnego błękitu, energia mamy była jak ser, a taty zielona jak trawa – wyliczył.

– Tak jak myślałem. – Nauczyciel prychnął krótko. – Wszystkie te aury są jasne i ciepłe. A takie aury uznajemy za słabe. Poczynając od żółtych, idąc przez pastelowe biele i kremy, a kończąc na kolorach nieba i roślin. Każdy jasny czy blady kolor oznacza słabość.

Haru zamrugał, pospiesznie przetrawiając uzyskane informacje. Próbował przypomnieć sobie jakiś inny kolor, który może widział gdzieś przypadkiem. Nic jednak nie przychodziło mu do głowy. Zawsze otaczały go jasne, przejrzyste energie. Jego rodzina, odwiedzający ich goście – każdy z nich posiadał aurę co najwyżej w kolorze nieco ciemniejszego nieba. Najciemniejsza barwa, jaką widział, należała do jego ojca.

– A ty...? – Przyciszone, chytre zapytanie nauczyciela zapaliło w rudowłosym nagłą lampkę olśnienia. No tak, jego aura zawsze wyróżniała go spośród rodziny. Była ciemna, bardzo ciemna, znacznie ciemniejsza niż energia ojca.

– Moja aura...

– Pokaż mi ją!

– Ale... Mama zawsze mówiła, że moja energia jest brudna, że nie powinienem nikomu jej pokazywać...

– Już zapomniałeś?! – huknął mężczyzna, uderzając dłońmi o stoliczek, który zatrzeszczał głośno. – Twoja rodzina to banda durnych słabeuszy, którzy wyparli się ciebie! Sprzedali cię, bo w swojej lękliwej głupocie uznali twoją siłę za coś złego! A siła to dar, o którym oni mogą tylko pomarzyć. Nie wolno ci wstydzić się swojej siły, masz być z niej dumny!

Rudzielec zgarbił się i pochylił kornie głowę. Zagryzł wargi i zacisnął powieki. Siła to jego dar, a rodzina – jego głupia rodzina – nie potrafiła tego pojąć. On był silny, oni słabi.

– Moja aura jest czarna jak noc i jestem z niej dumny – wycedził przez zaciśnięte zęby, wolno wypuszczając powietrze. Wraz z wydechem wokół jego ciała zatliła się ciemna poświata. Najpierw mdła i niewyraźna, podnosząca się z ziemi jak poranna mgła. Jednak z każdą chwilą gęstniała. Nabierała wyraźniejszej struktury i mocniejszego koloru. Węgliste smugi krążyły wokół siedzącego chłopca, oplatały jego nadgarstki, wiły się wokół piersi. Cieniste fale buchały spod niego, jak gorąco

z rozpalonego pieca. W końcu mroczna mgła wystrzeliła żywo, ogarniając całą postać rudowłosego. Zdawało się, że chłopiec zajął się hebanowym ogniem.

W oczach mężczyzny błysnęła iskra fascynacji, a jego uśmiech po raz pierwszy był szczery. Potarł dłońmi kolana i zaśmiał się krótko, z satysfakcją. Był wielce zadowolony, niemal szczęśliwy.

– Niesamowite... – stęknął. – Nieskazitelnie czarna energia. Idealna. Masz w sobie niezmierzone pokłady siły, chłopcze.

Haru zamrugał wypełnionymi czernią oczami. Jego energia syknęła, zatańczyła pospiesznie wokół jego postaci i zgasła, opadając w dół. Chłopiec oddychał ciężko; był zmęczony pokazem swoich możliwości. Przywołanie tak dużych pokładów energii wykończyło go, kilka kropel potu zrosiło tętniące skronie.

– Siły...? – Tylko tyle zdołał z siebie wykrztusić.

– Tak, siły. – Głos nauczyciela był ożywiony. – Tej siły, która dla twojej rodziny jest niepojęta i którą zmarnowałbyś, zostając w rodzie Saruku. Nauczymy cię, jak ją wykorzystywać. Jeśli tylko pozwolisz nam ją z siebie wydobyć. Możesz stać się dzięki niej kimś niezwykle potężnym. Takie osoby jak ty to cenny nabytek dla Syndykatu.

Czekoladowe oczy chłopca zapłonęły. Był zmęczony, głodny i spragniony. Lecz to wszystko zdawało się nieistotnym szczegółem w porównaniu z wiedzą, jaką zyskiwał. Czarna energia, którą od zawsze uważał za ohydną, bo rodzina jej nie akceptowała, okazała się jego darem. Mroczna aura, przez którą traktowano go jak wyrzutka, miała stać się źródłem jego potęgi. Wszystkie znane mu osoby gardziły nim, a Syndykat chciał go przyjąć w swoje szeregi, traktując jak kogoś wyjątkowego i posiadającego wielkie możliwości. Taka nagła zmiana przyjemnie grzała pełne smutku i żalu serce. No i łechtala chłopięcą próżność – wreszcie został przez kogoś doceniony.

– Chcę... chcę tu zostać, panie. Chcę stać się silny – powiedział, w pełni świadom znaczenia swoich słów. Nie chciał już wracać do swojej słabej rodziny, która nie umiała zobaczyć w nim niczego dobrego ani przydatnego. Tutaj poczuł się potrzebny i niezwykły.

– Spokojnie, zostaniesz tu. – Mężczyzna patrzył na małego rudzielca z powagą, jakby nagle zmienił swój stosunek do ucznia. – Posiadasz nieograniczone możliwości, ale musisz się jeszcze sporo nauczyć. Musisz przejść wiele prób, odbyć wiele lekcji, by w pełni poznać i rozwinąć swoje moce. Jesteś na to gotowy?

Rudzielec żywo potaknął głową, już nie mogąc doczekać się dalszego ciągu szkolenia. Miał jedynie nadzieję, że teraz, kiedy tak wiele zrozumiał, nauczyciel wypuści go z tego cuchnącego, więziennego pokoju.

– Dobrze więc, Haru. – Opiekun pierwszy raz zwrócił się do niego po imieniu i uśmiechnął się życzliwie. – Wróćmy do teorii na temat aur. W Syndykacie istnieje pewien podział. Do naszych szeregów przyjmujemy tylko osoby z wystarczająco ciemną, czyli silną aurą. Naszych uczniów pozyskujemy w różny sposób.

Pozyskujemy... To słowo nieprzyjemnie zazgrzytało w uszach chłopca. Nauczyciel mówił o ludziach jak o przedmiotach. Chłopiec chciał przełknąć ślinę, ale jego gardło było do cna wysuszone. Desperacko potrzebował wody. Nawet jego demoniczny organizm nie mógł wytrzymać zbyt długo bez nawilżenia.

– Niektórych, tak jak było w twoim przypadku – ciągnął mężczyzna – odnajdujemy wśród słabych rodzin, ze strachu chcących się pozbyć swoich dzieci. Inni rodzą się w Syndykacie. Ci, którzy rodzą się ze zbyt jasną energią, są natychmiast zabijani. – Oznajmił to przeraźliwie spokojnym głosem, najwidoczniej nie przejmując się reakcją Haru. A może celowo chciał go nastraszyć, otwarcie i bez ostrzeżenia wyznając, jak brutalne zasady rządzą w Syndykacie.

Rudowłosy znieruchomiał. Zimny dreszcz postawił mu włoski na karku. Nie umiał sobie nawet wyobrazić, jak trzeba być okrutnym lub... zdyscyplinowanym, by

bez skrupułów zabijać noworodki. Niczym grom spadła na niego świadomość, że i jego zabiją bez wahania, gdy tylko przestanie być przydatny lub posłuszny. Już nie był tak pewny, czy pragnie tu zostać, ale wiedział, że nie ma wyboru. Trafił w szeregi zabójców i jeśli chciał przeżyć, nie mógł się wycofać.

Mężczyzna przecesał dłonią resztki siwych włosów i przechylił głowę na bok.

– To cię przeraża? A nie powinno. Jeśli chcesz być silny i przydatny dla Syndykatu, nie możesz bać się zabijania i nie możesz czuć litości dla słabych. Słabeusze zasługują tylko na pogardę i na unicestwienie. Jeżeli okazujesz litość, sam stajesz się słaby. Na początek musisz się nauczyć braku skrupułów.

Haru bez przekonania potaknął głową. Miał mieszane uczucia, gubił się w tych pierwszych naukach. Z jednej strony przynależność do Syndykatu dawała mu poczucie wyjątkowości, z drugiej budziła w nim odrazę.

Nauczyciel przemknął po nim szarym spojrzeniem. Jego naznaczona brzdami czasu twarz przybrała beznamiętny wyraz, taki sam jak podczas ich pierwszego spotkania.

– Wśród jasnych aur nie ma wyjątków. Wszystkie oznaczają po prostu niedołęstwo i zbędne cherlactwo. Ciemne aury są różne. Wymienię ci je od najslabszej do najsilniejszej. Do Syndykatu przyjmujemy osoby z aurą granatową, brązową, fioletową, brunatną i wreszcie czarną.

Chłopiec zdębiał. Jego aura znajdowała się na końcu listy, czyli była najsilniejsza ze wszystkich akceptowanych w Syndykacie. Przeszedł go dreszcz podekscytowania. Tutaj naprawdę był kimś. To akurat bardzo mu się podobało.

– Aury granatowe i brązowe posiadają przeważnie Kapłani i Alchemicy – kontynuował mężczyzna. – Na pewno spotkasz kilku na swojej drodze. Fioletowe, brunatne i czarne energie należą do Skrytobójców.

– Skrytobójców?

– Tak właśnie nazywani zabójców, którzy zabijają na zlecenie. Dostają swój cel, osobę, którą muszą zabić, a potem otrzymują zapłatę za wykonane zadanie. Nadążasz?

Haru jedynie skinął głową, znowu nie mogąc wykrztusić ani słowa. Stanie się jednym z nich... Miał czarną aurę, więc przynależał do Skrytobójców... Do morderców, którzy zabijali w zamian za wynagrodzenie. Obrzydzenie wywracało mu żołądek, żółć podchodziła do gardła, lecz przemógł mdłości. Zdusił wątpliwości i skrupuły w zarodku. Musiał to przetrzymać, jeśli nadal chciał być uważany za cenny nabytek, jeśli chciał przetrwać tu dłużej niż kilka marnych dni.

– Będę jednym z nich... – wybełkotał pod nosem.

– O ile dotrwasz do końca. – Wargi mężczyzny rozciągnęły się w kpiącym uśmiechu. – Już na początku zdradzę ci kilka podstawowych zasad, na których przyswojenie będziesz miał sporo czasu. Jednak im szybciej to zrobisz, tym lepiej dla ciebie. Po pierwsze nie bierz zbyt dosłownie znaczenia słowa Kapłan. Są tu potrzebni do odprawiania rytuałów i zaklęć. Leczą rannych tylko czasami, jeśli sytuacja koniecznie tego wymaga. Nie przyjdą do ciebie, gdy rozboli cię brzuch, nie zajmą się tobą, gdy wrócisz poobijany z treningów. W Syndykacie nie ma miejsca na narzekanie, nie ma leków i specjałów uśmierzających ból. My nie tłumimy cierpienia, zadajemy je słabym, a sami akceptujemy ból, odnajdując w nim kolejne źródło siły.

Słowa nauczyciela brzmiały tak przerażająco, że od samego słuchania zawiroowało rudzielcowi w głowie. Nie chciał sobie nawet wyobrazić, ile cierpienia jeszcze go czeka. Nie miał dokąd uciec. Nie mógł wrócić do rodziny, której zaczynał szczerze nienawidzić. Bardzo chciał stać się silniejszy, by pokazać im wszystkim, na co go stać, co stracili. Lecz słuchając kolejnych brutalnych zasad, zaczynał żałować swojego wyboru. Zaraz, jakiego wyboru? Trafił do Syndykatu jako więzień, przed którym otwarto jedną możliwą drogę. Na jej końcu stanie się Skrytobójcą.

– Alchemicy – siwowłose opiekun mówił dalej – tworzą trucizny i eliksiry, które potrzebne są Skrytobójcom do ich zadań. Siła bowiem nie polega wyłącznie na sile mięśni. To także spryt i pomysłowość, dzięki którym zabójcy pozbywają się wrogów cicho i bez świadków. Ciebie również nauczymy przygotowywać podstawowe, niezbędne w tym fachu trucizny. Jest ich tylko kilka, resztę możesz spokojnie zostawić Alchemikom.

– Mogę o coś zapytać, panie? – przerwał mu nagle Haru, wpatrując się w nauczyciela roziskrzonym wzrokiem.

– Pytaj.

– Jakiego koloru jest twoja aura?

Mężczyzna zmarszczył brwi z irytacją, lecz po chwili jego twarz wygładziło chłodne zadowolenie. Dociekliwość chłopca spodobała mu się.

– Jest czarna, tak samo jak twoja. Ale nie łudź się, na razie twoje talenty nie dorastają moim do pięt. Brak ci wyćwiczenia i praktyki. I zapamiętaj sobie, póki jesteś uczniem, musisz okazywać szacunek każdemu, kto ma więcej doświadczenia od ciebie. Kiedy już skończysz swoje szkolenie, kiedy przestaniesz podlegać nauczycielom, ze swoją czarną aurą zobowiązany będziesz do okazywania respektu tylko Przywódczyni.

– Przywódczyni? – Ciekawość chłopca wzrosła, rozpalając jego czekoladowe spojrzenie.

Nauczyciel zareagował nie mniejszym przejęciem. Jego surowa twarz rozpromieniła się. Szare oczy zasnuła mgielka wzruszenia, głowa delikatnie opadła w dół. Oddawał Przywódczyni cześć nawet wtedy, gdy jedynie o niej myślał.

– Władczyni Syndykatu. Plage Fu-Setusa. Posiadaczka czerwonej aury. Jest to energia najsilniejsza spośród wszystkich, potężniejsza nawet od czerni. Czerwień to bowiem barwa krwi, a więc symbol okrucieństwa, cierpienia i morderstwa. Na dodatek nie posiada jej nikt inny, tylko Przywódczyni. Z tego, co mi wiadomo, Pani

sama przysłała pod twój dom, smarkaty szczęściarzu. Musiała mieć naprawdę ważne sprawy w pobliżu, skoro stawiała się po ciebie osobiście. – W jego głosie zabrzmiała nuta zazdrości.

Haru oniemiał, przypominając sobie przerażającą białowłosą kobietę. Mimo iż widział ją tylko raz, zapamiętał jej twarz bardzo dokładnie, do najdrobniejszego szczegółu. Jej bezdenne i lodowate spojrzenie, przewiercające go na wylot, lisi uśmiech, porcelanową cerę, okrutne piękno oblicza. Zadygotał i pokręcił głową, chcąc odgonić wyobrażenie jej niemal namacalnej postaci.

Obserwujący go mężczyzna zaciskał dłonie na masywnych udach, starając się stłumić narastającą w nim złość. Podniósł się gwałtownie, opuszczając napięte ramiona wzdłuż ciała.

– To ci starczy na dziś, dzieciaku. Oswajaj się z tym, co ci powiedziałem. Ach tak. – Sięgnął za pazuchę rozpinanej kamizelki i z wewnętrznej kieszeni wyciągnął szeroki, płaski bukłak. – To w nagrodę. – Rzucił naczynie na posadzkę i obrócił się. Długimi krokami podszedł do wyjścia, gniewnie chwycił za klamkę i szybko rozwarł skrzypiące drzwi. Wkrótce rozległ się szcęk zamykanych z drugiej strony zamków.

Haru wbił pełen nadziei wzrok w ciemny bukłak. Powoli rozplótł nogi, lecz był zbyt osłabiony, by na nich stanąć. Na kolanach podczołgał się do naczynia i chwycił je w drżące dłonie. Wewnątrz zachlupotała jakaś ciecz... Woda, zbawienna woda. Nie mogła mu dodać sił, ale pomoże oszukać głód, nawilży wysuszone gardło, a przede wszystkim choć w małej części ugasi palące go pragnienie.

To musiało mu starczyć do następnej wizyty nauczyciela. I może do kolejnej nagrody, na którą zasłuży.

Oficyna RW2010 proponuje:

Martyna Goszczycka: POTĘPIENIE

Drugi tom Sagi Wizji Paradoksalnych

Każdy dar może prowadzić do potępienia.

Plage znika z Przedświatu, Haru znowu zostaje porzucony. Jedyne, co albinoska mu po sobie zostawiła, to list, w którym wyjaśnia, czemu musiała odejść. Jasnowidz desperacko próbuje znaleźć sposób, by dotrzeć do białowłosej – co nie będzie, proste, bo wróciła do Zaświatu.

Jedyną nadzieją młodego demona jest Eliara, która zdaje się wiedzieć dużo więcej od niego. Jednak medyczka, mimo swojej przyjaznej natury, wcale nie jest skora do pomocy i uparcie unika Haru. Śledzenie Eliary i skłonienie jej do współpracy to dopiero początek problemów...

Haru czekają starcia z rusałkami, wilkołakiem, magiem...

A Plage czeka zatopiona w lodzie. Czy Haru zdoła do niej dotrzeć na czas?

Dariusz Kankowski: RE-HORACHTE. PIERWSZE SPOTKANIE

Powieść przygodowo-fantastyczna, w której akcja goni akcję i roi się od tajemnic. Czterech chłopców wyrusza w rejs, który na zawsze odmieni ich życie. Zaczyna się od katastrofy morskiej, następnie wybucha wulkan, a potem napięcie rośnie.

Młody autor w swoim powieściowym debiucie funduje nam fantastyczną podróż, pełną przygód, zwrotów akcji, gwałtownych emocji i wzruszeń. Czytelnik, zasiadając do lektury, rusza razem z młodymi bohaterami w jazdę bez trzymanki. Czekają ich: walki, ucieczki, dziwne spotkania, wędrówki w czasie i przestrzeni, zmagania z przeznaczeniem, mordercze turnieje, a przede wszystkim szukanie drogi do prawdy o sobie samym...

Dariusz Kankowski: RE-HORACHTE. MARTWY CHŁOPIEC

W drugiej części cyklu powieściowego *Re-Horachte* powracają znani nam z *Pierwszego spotkania* bohaterowie. Wydaje się, że chłopcy zapomnieli o wydarzeniach sprzed roku, że wrócili do codzienności. Tymczasem młodych przyjaciół czeka kolejna niebezpieczna, pełna przygód i emocji podróż, przed nimi kolejne tajemnice do odkrycia.

Nieoczekiwanie podejmą się misji odnalezienia starożytnych artefaktów. W trakcie okaże się, że ich los jest nierozdzielnie związany z wydarzeniami z odległej przeszłości oraz tajemniczymi Dziećmi Stulecia, które według przepowiedni mają ocalić świat przed nieuchronnie nadciągającą zagładą. Będą pościgi, ucieczki, walki, trudne wybory i nieprzewidziane spotkania. Oraz... anioły.

A kim jest Martwy Chłopiec? Koniecznie musisz się dowiedzieć!

E. M. Thorhall: ZAMEK LAGHORTÓW

Ostrzegamy: ta opowieść wciąga i pochłania.

Nie będziecie się mogli doczekać ostatniej strony, a potem będziecie żałować, że to już koniec. Akcja, turnieje, dworskie obyczaje, intrygi, zjawy, dziwne istoty, rodzące się uczucie, którego obie strony się wypierają, humor, barwny język, plastyczne opisy – to wszystko znajdziecie w I tomie powieści z cyklu *Zbrojni* pod tytułem: *Zamek Laghortów*.

Młodzianka Kyla, uciekając przed niechcianym ślubem, trafia pod opiekę Sir Eryka i jego żony Lady Lyanny. Poznaje zamek, jego mieszkańców, nawiązuje przyjaźnie, uczy się fechtunku, odkrywa prawdę o swoim pochodzeniu. Wiele się wokół niej dzieje. Wszyscy zdają się lubić i akceptować jasnowłosą podopieczną Laghortów, prócz jednej osoby: ponurego, opryskliwego Morhta. Ten pochodzący z Varthenu surowy i oschły dowódca najemników z jakiegoś powodu od samego początku nie znosi dziewczyny i nie zamierza jej pobłażać. Panna drażni go, irytuje i wzbudza niezrozumiały dla niego samego gniew. Kyla znosi jego zachowanie do czasu...

Kontynuacja losów bohaterów w drugim tomie cyklu po tytułem *Handlarze niewolników*.

E. M. Thorhall: HANDLARZE NIEWOLNIKÓW, II tom cyklu ZBROJNI

Ta powieść ekscytuje i niepokoi.

Jak potoczyły się dalsze losy dzielnych zwiadowców i ryzy Sir Eryka? Muszą mierzyć się z kolejnymi wyzwaniem losu czy wiodą spokojny i nudny żywot na zamku? Nuda na pewno nie czeka czytelnika. Tym razem autorka odważyła się na znacznie więcej niż spokojne opisy przyrody i okolic zamku, na śledzenie turniejów czy relacje z dworskich intryg. Dzieje się sporo. Na początek szarą zamkową codzienność ożywia duże i radosne wydarzenie, jakim są zaślubiny jednego ze zbrojnych. Co nie znaczy, że dalej będzie sielankowo.

Uzbrojona grupa handlarzy ludźmi napada świttem na jedną z wiosek należących do Sir Eryka. Na ratunek wprowadzonym wyrusza drużyna pod dowództwem Morhta. Czy i tym razem surowy Vartheńczyk poradzi sobie z każdą przeciwnością i niespodzianką? A może wręcz przeciwnie – może z jakiegoś powodu stchórzy i ucieknie? A Kyla? Co ta dziewczyna ma wspólnego z półumarłymi istotami? Jaką więź ją z nimi łączy? Okażą się sojusznikami czy wrogami?

Niespodziewane zwroty akcji, czarny humor, zbrojni, rozpustne dziewczki, gildia łotrów, przemoc i gwałt, miłość i magia, barbarzyńcy i... dhampir. Co tu, na ciemnika, robi dhampir?

Dariusz Kankowski: PŁACZ PRZODKÓW

Król spotyka dziewczynę z rasy niewolników, którą natychmiast pragnie pojąć za żonę, by spłodzić z nią dziedzica. Ale to nie bajka, tylko początek horroru. Akcja toczy się w odległych, ponurych czasach, gdzie opowieści rzadko kiedy kończą się szczęśliwie. Ciężeni Gi toczą beznadziejną walkę o wyzwolenie spod władzy swoich okrutnych panów, K'Anu, i ich bezlitosnego władcy, który z chwilą narodzin stał się panem całego znanego świata. Darem, który Neill otrzymał od Wszehrodziców, jest władza nad wszelkimi żywymi stworzeniami. Nikt nie może się mu sprzeciwić. A jednak Liść, prosta dziewczyna z ludu, to zrobiła. Czyżby utracił moc?

To historia walki o wolność i własną duszę, mroczna fantasy opowiadająca o odkrywaniu prawdy o bogach, przeznaczeniu i ludzkich uczuciach. Czy miłość jest silniejsza od przyjaźni, a pożądanie od lojalności? Czym uciszyć płacz przodków, wciąż rozbrzmiewający w głowie?

Radosław Lewandowski: YGGDRASIL. STRUNY CZASU

Struny czasu opisują zmagania kilkudziesięciosobowej średniowiecznej społeczności, przeniesionej przypadkowo i bezpowrotnie w okres paleolitu środkowego, w czasy gdy po ośnieżonych równinach dzisiejszej Europy wędrowały olbrzymie stada reniferów, dzikich koni i ciągnących w ślad za nimi drapieżników. Potężne mamuty nie miały godnych siebie przeciwników, z wyjątkiem mrozu i prymitywnych słabo uzbrojonych łowców, którzy równie często występowali w roli myśliwego co ofiary.

Wraz z mieszkańcami wioski, w przeszłość zostaje przeniesiony niewielki oddział Wikingów, najemników, których Thor wystawił na najcięższą próbę w drodze do Walhalli. Temporalni podróżnicy, a wraz z nimi cała ludzkość, stają w obliczu wielkiego niebezpieczeństwa.

Kontynuacja serii w powieści *Yggdrasil. Exodus*.

Joanna Łukowska: PIERWSZA Z RODU: ZNAJDA

To opowieść o skrzatach i ludziach, radzących sobie w świecie bez słońca. Estera pisze pamiętnik, licząc, że ktoś go przeczyta; o ile po latach mroku ktoś jeszcze będzie umiał czytać. Rosa, młody przywódca skrzatów z Boru, rozmyśla o nieciekawej sytuacji swych pobratymców. Wielebna Maura czyni wyrzuty pozbawionej uczuć Pustej z powodu zagubienia Obiektu. Jakim sposobem dzieciak wymknął się z sieci? A jakim cudem ociemniały świat wciąż trwa? Czyżby dało się oszukać los? Czy ziarnkiem piasku, zgrzytającym w żarnach przeznaczenia, może być dziwna zielonooka dziewczynka? Milczy i uśmiecha się szczerbato, odważnie patrząc w mroczną twarz Boru. Skrzatów też się nie boi, choć nie należą one do codzienności ludzkich szczeniąt. Kim jest to dziecko?

Znajda to opowieść o wyborach, wolnej woli, różnych obliczach miłości, o tym, że Droga jest ważniejsza od Celu. Bo choć przeszłość jest jedna, niezmienna, ścieżek prowadzących do przyszłości może być wiele...

Agnieszka Hałas: DWIE KARTY

Wszystkie anioły umarły, a bogowie odeszli. Magia dzieli się na srebrną i czarną; ta druga jest skażona, wyklęta. Po ziemi grasują demony, czyhające na dusze śmiertelników.

W Shan Vaola nad Zatoką Snów pojawia się obłąkany człowiek, który twarz ma pociętą ranami, a ze swej przeszłości pamięta jedynie urywki. Walcząc o byt w światku żebraków i przestępców, stopniowo buduje sobie nową tożsamość. Jego perypetie splatają się z losami całej gamy postaci – bezdomnego chłopca imieniem Znajda, alchemika, na którym ciąży paskudna klątwa, szczurołapa, którego córkę uwiódł i porzucił pewien nicpoń, arystokratki, której brat zginął zabity przez srebrnych magów... A w tle toczy się intryga uknuta przez Otchłania.

Mroczne, lecz bez epatowania makabrą, pełne plastycznych szczegółów obyczajowych, *Dwie karty* otwierają cykl powieściowy *Teatr węży* o świecie Zmrocy, na który składają się jeszcze powieści: *Pośród cieni* oraz *W mocy wicheru*.

Katarzyna Uznańska: ZIEMIĄ WYPEŁNISZ JEJ USTA

Gdy łowca staje się ofiarą...

Królewskie miasto nie zasypia nigdy, ale dopiero po zmroku budzą się jego upiory. Łowca, skryty w cieniu starych kamienic, poluje na samotne kobiety, by podzielić się ich ciałami z rzeką. Ta noc będzie dla niego wyzwaniem – z prześladowcy stanie się ofiarą. Utarty schemat życia Łowcy rozpadnie się w pył, gdy mężczyźni przyjdzie zmagać się z podobną mu, choć o wiele potężniejszą istotą – estrią.

Ina – polska szlachcianka – egzystuje od wieków pod postacią żydowskiego demona; czuje jednak, że jej czas dobiega końca. Wybrała Łowcę na powiernika swojej historii, a może kogoś znacznie więcej...

W powieści terażniejszość splata się z historią i mitem, tworząc współczesną baśń o ludzkich pragnieniach i przekraczaniu granic w pogoni za ich zaspokojeniem.

Marek Ścieszek: POLA ŚMIERCI

Na początku pola śmierci miały być tylko interesem, nieludzkim, bluźnierczym, ale prowadzącym do łatwego zarobku. W świecie fantasy w sprawy zwykłych ludzi lubią się jednak mieszać siły nadprzyrodzone. Przy czym nie sposób jednoznacznie stwierdzić, w którym miejscu przebiega granica porządku. Nic nie jest albo czarne, albo białe. W szarościach niknie pewność co do istoty zła. Zamęt, mroczna siła stojąca w opozycji do Natury, powołuje do życia Bestię, która dzieło ludzi postanawia kontynuować na własnych warunkach. Konflikt jest nieunikniony. Jaką rolę odegra w nim człowiek zamknięty w klatce? Po której stronie opowie się tajemniczy Zakon Rycerzy Smoka? A przede wszystkim kto w tym świecie zasługuje na miano prawdziwej bestii: dziecko Zamętu czy sam człowiek? Odpowiedzi należy szukać na bezkresnych Polach śmierci...

Agnieszka Hałas: PO STRONIE MROKU

Piekło ma wiele obliczy, a wszystkie one stanowią część planów Stwórcy. Na odwieczną maszynę przeznaczenia składają się miliony pojedynczych trybików. Takich jak hiszpański alchemik El Claro, wojownicza Sangre Veland, rudy demon Samir von Katzenkrallen czy jedenastoletnia strzyga Maszka. Dwanaście opowiadań połączonych wspólnym motywem Szeolu zabierze was w podróż przez różne czasy i miejsca – od współczesnej codzienności po rubieże zaświatów, od średniowiecznych Karpat po zbombardowane Nagasaki i płonące World Trade Center.

Romuald Pawlak: RYCERZ BEZKONNY

Nie całkiem poważna fantasy o rycerzu bezkonnym, który zaczął od dorabiania pasowaniem zwłok, zrobił krótką, ale intensywną karierę jako świecki inkwizytor, by wreszcie oddać się swemu prawdziwemu powołaniu: magii. A wszystko to za sprawą kupca, który przejął za długi rodzinny

majątek Fillegana, zmuszając go do emigracji z rodzinnego Wake w Anglii na kontynent. Oto dlaczego kupiec zawsze będzie wrogiem rycerza, a rycerz krzywo spoglądać będzie na bogatego kupca... chyba że sam stanie się po stokroć bogatszy. Skoro nie całkiem poważna literatura, to należy się tu spodziewać i kultu Monty Pychotka, i morderczej mandragory, wystąpienia mumii Ramzesa XII, a nawet gadającego mchu.

Dawid Juraszek: CAIREN. DRAPIEŻCA

Gdyby Marco Polo był Conanem Barbarzyńcą... miałby na imię Cairen!

Dziesięć wartkich opowiadań. Dziesięć orientalnych przygód z prężeniem mięśni i przymrużeniem oka. A w nich bez liku zaginionych cywilizacji, walnych bitew, powabnych dziewczek, groźnych monstrów, magicznych sztuk, starożytnych grobowców, literackich nawiązań, i czego tam jeszcze.

Pośród szczęku mieczy, szabli, koncerzy, sztyletów, kindżałów, puginałów i handzarów, jęku cięciw, bają mędrców i westchnień rozkoszy... W ociekających przepychem pałacach Czungii, przedwiecznych ruinach miast Goryo, podmorskich grotach potworów Nipponii, przybytkach zmysłowych uciech Syamii... Ramię w ramię i twarzą w twarz z Mengutami, Tuerami, Malajami, Jugurami, Manczami i Parsami... Przez spienione grzywacze Oceanego Morza, niezgłębione dżungle Kmerii, śnieżne pustkowia Xybelii, monsunowe ulewy Czamby... Wszędzie tam, bez zbytej rewerencji dla chanów, szejków, cesarzy, kalifów, sułtanów, królów, szachów, szogunów czy maharadzów, dumnie, butnie i zuchwale kroczy CAIREN!

Romuald Pawlak: CZAREM I SMOKIEM

Nie ma nic gorszego niż bolesny brak profesjonalizmu. Co może zrobić mag-pogodnik, który nie umie zapanować nad aurą? Może tylko wylecieć z roboty u malarza Astrogoniusza i wplątać się w kłopoty, które zaprowadzą go najpierw na dno statku, potem wydzwigną do pałacowych kajut, by znów stracić w piekielne otchłanie. Spotkane na drodze kobiety okażą się niebezpieczne, mężczyźni zechcą zabrać życie – i tylko spotkany w kolejnym więzieniu smok będzie rozumieć naszego maga.

Sojusz pogodnika ze smokiem zostanie zawarty w następujących celach: najeść się po uszy, mieć do spania wygodne łóżko, zdobywać piękne kobiety, zemścić się na Astrogoniuszu. Aha, i na podłym karle Garzfulu, który sprawił, że Rosselin został wygnany z pałacu. Jak z powyższego opisu widać, jest to śmiertelnie poważna opowieść o magii, smokach i trudach pracy zawodowej.